

ZNAD WILII



TYGODNIK

Rok VI, nr 28 (133)

Wilno, 27 grudnia 1994

cena 40 ct.
(5000 zł., indeks 383678)

W numerze:

- „Znad Wilii” - 5 lat. Refleksje Redaktora - s. 2
- „Geografia” czasopisma - s. 2
- Konkurs „Nasze Małe Ojczyzny” - s. 3
- Święta a zwyczaje przodków - s. 3
- Prof. J. Kłoczowski: „Kultura Pokoju” - s. 4
- W krainie kłonów i wodospadów - s. 5
- Nasi Autorzy: Elżbieta Iwańska - s. 6
- Ocalone zdjęcia Jana Buhaka - s. 7
- Na Sylwestra - do „Kresowej” - s. 8

Z TYGODNIA NA TYDZIEŃ

● W drugim dniu Bożego Narodzenia poeta Justinas Marcinkevičius - jako pierwszy - otrzyma nagrodę Fundacji Pojedynania Litwy. Nagrodą jest statuetka i premia pieniężna.

● 110 tys. drzewek przygotowali leśnicy mieszkańcom Litwy na Święta Bożego Narodzenia i Nowego Roku. Ceny wahają się od 4 do 15 Lt.

● 15-metrowa choinka stanęła na Placu Ratuszowym w Wilnie. Odbędą się tu różne zabawy świąteczne i atrakcje.

● 22 grudnia ks. Dariusz Stańczyk odprawił Mszę św. w intencji polskich mass mediów na Litwie. Zebrani w Ostrej Bramie dziennikarze, ich bliscy i sympatycy czasopism, polskich programów radiowych i telewizyjnych przełamali się opłatkami.

● Przesyłka charytatywna, zawierająca środki transportowe, amunicję, komputery i inne rzeczy przekazana została dla wojska litewskiego z Danii.

● 20 grudnia 1994 r. minęło 5 lat od czasu, gdy Komunistyczna Partia Litwy (KPL) odłączyła się od ogólnozwiązkowej (KPZR). Był to znaczący krok w drodze Litwy do niepodległości. Z okazji rocznicy odbyły się uroczystości z udziałem najwyższych władz.

● Rada Naukowa Uniwersytetu Narodowego w Kijowie nadała Algirdasowi Brazauskasowi tytuł *honoris causa*.

● Starówka Wileńska wciągnięta została na listę dziedzictwa światowego UNESCO (o działalności tej organizacji - na s. 4).

● Po czteroletniej przerwie odbył się kolejny zjazd Związku Pisarzy Litwy, który liczy obecnie 324 członków. Prezesa ZPL został Valentinas Svencickas, krytyk literacki.

● Według danych statystycznych, w listopadzie wydatki na mieszkanie, opał i energię wzrosły o 7 proc. O 3,4 proc. zdrożały artykuły spożywcze, a wydatki na oświatę i kulturę wzrosły o 9,5 proc.

● Sejm RL ustalił datę wyborów samorządowych. Odbędą się one 25 marca przyszłego roku.

● Rząd Litwy wystąpił o pomoc dla Gruzji. Składa się ona z 2 ton masła i 4,5 tys. puszek konserw.

● Litwa otrzymała w darze od Norwegii kuter, który ma się nazywać „Dzūkas”. Jest to jednostka po remoncie kapitalnym.

● Od 19 grudnia wizy wydawane przez ambasadę USA dla obywateli Litwy będą ważne do 10 lat.

● W okresie świątecznym - 23-26, 30-31 grudnia oraz 1-2, 6-8 stycznia - granicę litewsko-białoruską można przekraczać bez wiz.

● Do 50 proc. zmalała produkcja piwa litewskiego po wprowadzeniu nowej wyższej akcyzy.

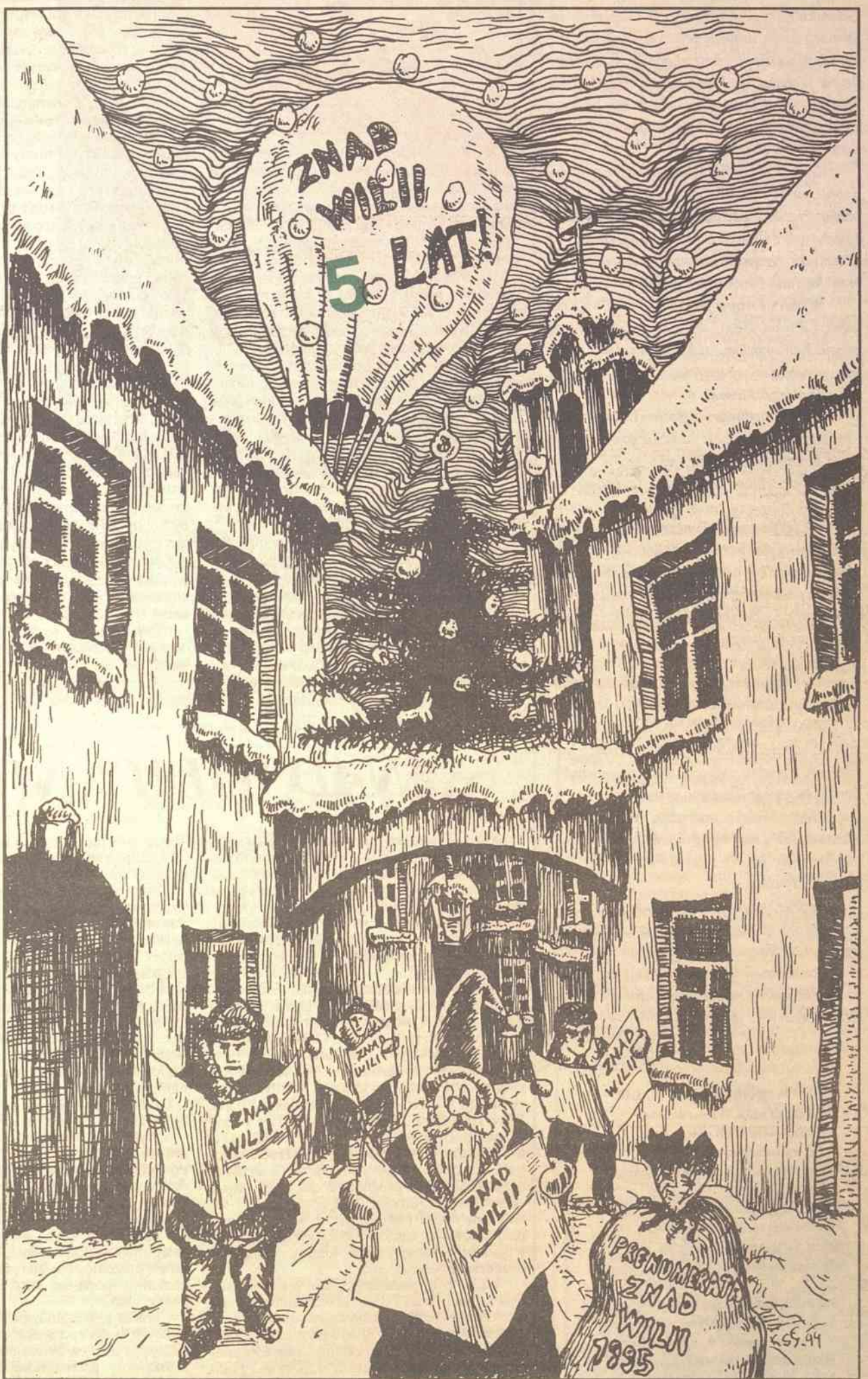
● Vladas Vitkauskas, alpinista litewski, osiągnął najwyższy szczyt Antarktydy - Wilson (5140 m).

● W Wilnie w najbliższym czasie planuje się otworzyć 7 barów szybkiej obsługi typu McDonald.

● Wileńscy donory dają dwukrotnie więcej krwi niż się jej potrzebuje. A zapotrzebowanie roczne wynosi około 5 ton krwi.

● Na Litwie działa 2218 szkół. Wśród nich 5 gimnazjów ogólnych, 4 gimnazja sztuk pięknych i 40 szkół, w których są klasy gimnazjalne.

● Ponad 300 esperantystów z kraju i zagranicy uczestniczyło w obradach XXX zjazdu esperantystów Litwy.



Rys. Stanisław Kaplewski

Wszystkim naszym Czytelnikom składamy serdeczne życzenia zdrowych i radosnych Świąt Bożego Narodzenia. Niech nadzieja i pogoda ducha towarzyszą Państwu przy realizacji dokonań wielkich i małych, a dostatek gości stale w rodzinach. Oby z nadejściem Nowego Roku spełniły się marzenia o szczęściu. O tym, co w życiu jest piękne i ważne.

Redakcja „Znad Wilii”



W szerszej perspektywie europejskiej dobrze widać nasze wspólne interesy

Rozmowa z prof. Jerzym Kłoczowskim, przewodniczącym Polskiego Komitetu ds. UNESCO

współpracę. Można wykorzystać dorobek pracy redakcji, placówek kulturalnych, wkład intelektualistów.

- Litwa jest zainteresowana współdziałaniem z UNESCO. Przykładem tego była niedawna wizyta oficjalna prezydenta Brazauskasa w siedzibie organizacji we Francji.

- Na gruncie międzynarodowym mamy bardzo bliską współpracę. W szerszej perspektywie europejskiej dobrze widać nasze wspólne interesy. Zaczęliśmy formułować projekt pluralizmu jako program Europy Środkowo-Wschodniej. Delegacja litewska była jedną z najbardziej czynnych w takim współdziałaniu. Zostałem zobowiązany wtedy do przygotowania koncepcji „Encyklopedii Europy Środkowo-Wschodniej”. Ale działania na arenie międzynarodowej trzeba poprzeć ruchem społecznym wewnątrz kraju. Niestety, nie rozwija się on tak, jak byśmy chcieli. To musi mieć także zrozumienie społeczne i pewne zaplecze.

- Przeszkadzają interesy natury politycznej, walka o władzę i sfery wpływów, odzywające się wciąż i żywotne nacjonalizmy.

- To jest spuścizna barbarii. Światnie to ostatnio podsumował Zbigniew Brzeziński w książce „Barbarie XX wieku”. Wszyscy jesteśmy chorzy na to. Perspektywa następująca: albo będzie anarchia i ktoś trzeci przyjdzie i sytuację wykorzysta, albo będziemy na tyle dojrzałi, że sięgniemy do pewnej tradycji współzycia i wzajemnego poszanowania, uznania praw człowieka - z jego językiem, kulturą, religią. To wcale nie przeciwstawia się jakimś lokalnym czy regionalnym, narodowym czy innym interesom. Oznacza naturalną konieczność widzenia innych sąsiadów, mniejszości, oddzielnych ludzi. Takie są podstawowe postulaty świata. Nie ma innej alternatywy. A przecież nawet od grupki ludzi dobrej woli zależy niewspółmiernie dużo. Oby na Litwie powstało jak najwięcej takich inicjatyw.

- Na polskiej inteligencji zamieszkałej poza granicami Macierzy spoczywa szczególna rola. Również Polacy na Litwie mogą wiele zrobić w dziedzinie zbliżenia kultur sąsiadów i historycznych partnerów.

- Jest to ogromna sprawa, chociażby w sensie uświadomienia sobie wspólnych doświadczeń Rzeczypospolitej. Są to niesłychanie ważne elementy na dzisiaj i jutro w skali kontynentu. Z pewnym ideałem współzycia, do którego Europa dąży. To jest niesłychanie bogata „wizytówka” europejska, przy tym wspólna. Inteligencja ma być nośnikiem polskiego i europejskiego dorobku, ma pomóc odziedziczyć od barbarii naszego stulecia. Przeprowadzić szeroką jej analizę, by uświadomić także innym, do czego to prowadzi. To zadanie dla intelektualistów - nauczyć budowania „kultury pokoju” z poszanowaniem własnych wartości.

- Jest to niewątpliwie szansa dla małych narodów, które mogą zaimponować swą innością, zaistnieć na szerszych obszarach integrujących się krajów.

- Nie miejmy kompleksów. Niestety, w komunistycznych krajach wszyscy je mamy. To jest nasz wielki wróg. Straciliśmy bowiem poczucie autentycznych korzeni. A to znów pluralizm kulturowy i inny. Wielkie Księstwo Litewskie słynęło pod tym względem, a fenomen Wilna pozostaje znakomitym przykładem europejskiego współzycia. I to jest na dziś karta do wygrania. Na zasadzie poszanowania wzajemnego i świadomości wartości uniwersalnych...

- Które trzeba odróżniać od kosmopolitycznych, żądy stawiania na konsumpcję każdym kosztem...

- Oczywiście. Kosmopolityzm, ta niebezpieczna utopia, może służyć egoistycznie, cynicznie nastawionym ludziom. Tworząca się Unia Europejska swą zasadę nacelną opiera na wartościach chrześcijańskich. U jej podstaw sprawiedliwość, poszanowanie najmniejszej grupy, gminy. Z wszystkimi jej prawami, z daleko idącą autonomią. Ważne są regiony, które tworzą większe organizmy. Z ogromnym poszanowaniem różnorodności kultury. Kosmopolityzm, zjawisko na antypodach, zwyrodniałe wobec uniwersalnej postawy, nie jest w stanie przyćmić naturalnego dążenia ludzkości do swej inności, która jest motorem poczynań twórczych.

- Po czasopiśmie „Znad Wili” sięgają Czytelnicy, których niewątpliwie interesują sprawy kultury. Ale - i los ich tożsamości na ziemiach, niegdyś stanowiących Rzeczpospolitą kilku narodów, a dziś niepodległe państwa, budujące demokrację.

- Wszystkim Czytelnikom pisma przesyłam bardzo serdeczne życzenia świąteczne wraz z przekonaniem, że w kulturze polskiej, bardzo otwartej, tkwią niesłychanie pozytywne elementy na teraz. Pozbędźmy się tylko pesymizmu, zdobędźmy się na trochę dynamizmu i otworzymy się szerzej na świat i jego potrzeby. Wtedy pozostaniemy Polakami, wiernymi naszej narodowej tradycji. Takiej, dla której niegdyś biliśmy się „Za Naszą i Waszą Wolność”. Dopiero wtedy będziemy mogli temu światu, tak nadszarpiętemu przez barbarie, przeciwstawić się. Wnieść wartości, które przecież decydują. O świecie decyduje nie ekonomia czy polityka, tylko kultura. Poznanie jej prowadzi do zrozumienia, że ona właśnie w swej funkcji służenia ludziom przewodzi. Nie ma wyboru: albo na gruzach barbarii zbudujemy coś lepszego, albo konsumpcja uśpi nasze ideały, wypaczając pojęcie o pluralizmie i roli kultury.

- Dziękuję za rozmowę.
Rozmawiał: Romuald Mieczkowski

- Panie Profesorze, znany jest Pan jako historyk chrześcijaństwa polskiego, autor wielu prac naukowych w różnych językach, wykładowca w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, dyrektor Instytutu Europy Środkowo-Wschodniej w Lublinie, przewodniczący Polskiego Komitetu ds. UNESCO...

- Tych zajęć rzeczywiście mam sporo. Zaw sze, od lat najdawniejszych, byłem zaangażowany w sprawy społeczne. Jako uczestnik Powstania Warszawskiego straciłem rękę. Dumny jestem, że byłem tam, gdzie rozgrywały się dzieje najdramatyczniejsze, za co przyznano mi Virtuti Militari. To zaangażowanie sprawiło, że byłem też senatorem pierwszego Senatu RP. Natomiast kierując Polskim Komitetem ds. UNESCO staram się zorganizować i rozwinąć współpracę z tą organizacją międzynarodową.

- Usiłuje Pan zainteresować tą inicjatywą jak najwięcej ludzi, młodzież. Temu służy Ruch Klubów UNESCO, stanowiący skuteczne zaplecze do szerszego działania. Na czym to polega?

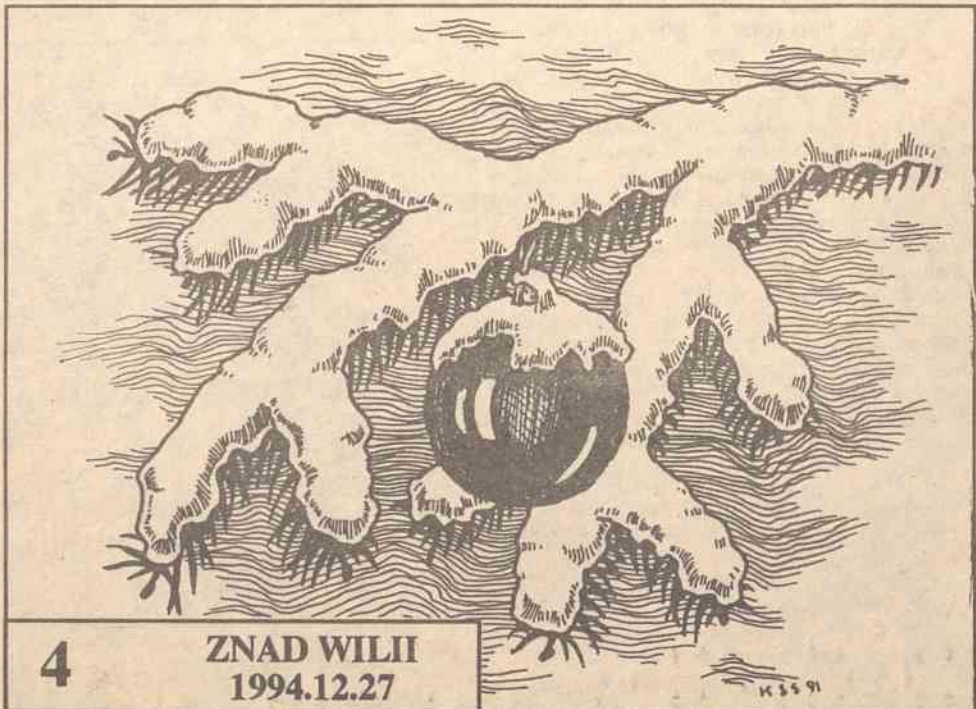
- Jest to ruch międzynarodowy, mający mocne oparcie w Europie Zachodniej, ale i na innych kontynentach, np. w Japonii niesłychanie silny i rozwinięty. To ruch, który zmierza do zespolenia wszelkich inicjatyw społecznych, służących współpracy międzynarodowej. UNESCO w sposób szczególny nastawia się w tym kierunku, żeby budować to, co się nazywa „kulturą pokoju”, m.in. z udziałem mediów.

- Litwa stawia pierwsze kroki w tej dziedzinie. Z czym mogłaby wejść ona do tego ruchu?

- Włączenie się Litwy do czynnej współpracy międzynarodowej byłoby niesłychanie ważne, szczególnie teraz, chociażby z tego powodu, że przyszły rok na całym świecie będzie upływał pod hasłem tolerancji. Przypomnienie m.in. tradycji Wielkiego Księstwa Litewskiego może posłużyć jako swoista legitymacja Litwy w procesie integracyjnym. A to jest temat, który Litwa nieco zapomniała. Istnieje wielka potrzeba przypomnienia tych kart. Tu razem z Białorusią, innymi krajami mamy wspólny interes. M.in. w Lublinie organizujemy pod protektoratem UNESCO w końcu przyszłego roku wielką sesję „O tradycjach pluralizmu i tolerancji w Europie Środkowo-Wschodniej”.

- Jest to ruch nieformalny, społeczny.

- I oparty na działalności o charakterze szerszym, właśnie klubowym. Dobrze, gdyby na Litwie powstało co najmniej dziesięć klubów, do których weszliby „zapaleńcy”, szukający kontaktów z kulturą - francuską, włoską, polską czy każdą inną. Powinni przyjąć „hobbyści” dobrej woli, otwarci ze swoimi zainteresowaniami na



UMACNIĄĆ „KULTURĘ POKOJU”



Upadek komunizmu otworzył pełną konfliktów „puszkę Pandory”. Ich przyczyną są głęboko zakorzenione w podłożu społeczno-kulturowym. Należy ustanowić „kulturę pokoju”, szerzyć ją we własnych społecznościach. Powinniśmy ją budować na wzajemnym szacunku i tolerancji, na poszanowaniu praw człowieka, konsolidacji pluralistycznych i otwartych społeczeństw. Pamięć zbiorowa powinna służyć przyszości.

Federico Mayor Zaragoza,
dyrektor generalny UNESCO

W działalności organizacji założonej 16 listopada 1945 w Londynie jako jednej z ważniejszych wyspecjalizowanych agencji w systemie ONZ, ważne jest umiejętne godzenie tego, co uniwersalne i tego, co regionalne. Oznacza to wspieranie wszystkich działań i inicjatyw, które prowadzą do zbliżenia sąsiednich kultur, przewyżczenia złych doświadczeń przeszłości, budowania mostów na innych, niż dotychczas zasadach.

Temu właśnie służą kluby UNESCO, które może założyć każdy, kto zgadza się z ideałami UNESCO, ujętymi najkrócej we wstępie do Aktu Konstytucyjnego Organizacji: *Skoro wojny biorą początek w umysłach ludzi, to w umysłach ludzi należy budować środki obrony pokoju.*

Niedochodowa działalność w ramach UNESCO ma być rozwijana w duchu demokracji i tolerancji, realizowana w lokalnej społeczności i nie może być przybudówką partii politycznych lub organizacji wyznaniowych.

Na świecie działa około 4 tys. Klubów UNESCO. Działają one również w Polsce. Ta-

ka działalność na Litwie jeszcze się nie rozwinęła, znajduje się ona na etapie przygotowawczym.

Siedziba UNESCO znajduje się w Paryżu. W skład organizacji wchodzi 180 państw (z prawem głosowania), ponadto kraje stowarzyszone i kraje w charakterze obserwatorów. UNESCO współpracuje z instytucjami ONZ, w tym z komisjami regionalnymi, organizacjami międzyrządowymi i pozarządowymi (łącznie około 600). Najwyższą instancją pomiędzy Konferencjami Generalnymi jest Rada Wykonawcza, którą stanowi 26 państw (w tym Polska). Ważną i bardzo rozbudowaną strukturą jest Sekretariat UNESCO, kieruje nim Hiszpan Federico Mayor Zaragoza.

W centrum działania UNESCO zachowanie spuścizny. Lista Światowego Dziedzictwa Kulturalnego i Naturalnego UNESCO liczy 411 obiektów z 95 państw, które podpisały specjalną konwencję. Weszła ona w życie 17 grudnia 1975 r. Polska ratyfikowała ją 29 czerwca 1976 r. Na liście znalazły się miasta - Warszawa, Kraków i Zamość, a także poszczególne obiekty - Kopalnia Soli w Wieliczce, teren byłego obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka, Puszcza Białowieńska.

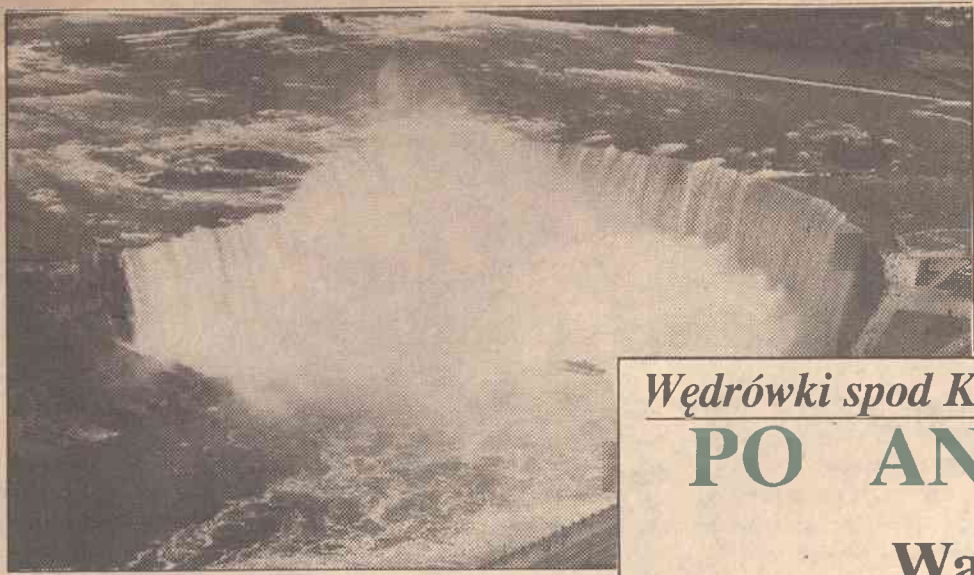
Każdy rok ma odpowiednie hasło, które przyświeca działalności w ramach UNESCO. Rok 1994 był uznany za Międzynarodowy Rok Rodziny, przyszły - 1995 będzie Międzynarodowym Rokiem Tolerancji. Ponadto UNESCO obchodzi najważniejsze rocznice. W roku 1995 w kalendarzu UNESCO znalazła się m.in. 400-rocznica urodzin Bohdana Chmielnickiego (grudzień), 50-rocznica zakończenia drugiej wojny światowej, 100-rocznica powstania Radia, obok tej daty szczególnie uroczyste będzie obchodzone stulecie Kina.

Prof. Andrzej Stelmachowski, prezes Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”:

(specjalnie dla Czytelników „Znad Wili”)

W Polsce Boże Narodzenie jest nie tylko świętem religijnym, ale i rodzinnym. To się zresztą bardzo ładnie się splata. Chciałbym całej tutejszej wileńskiej Rodzinie złożyć najserdeczniejsze życzenia i chociaż duchowo przelatać się oplatkiem. Myślę, że podtrzymanie tego rodzaju tradycji ciepła rodzinnego, tradycji spójności jest rzeczą niezwykle ważną. Wiem, że i Wam i nam nie jest teraz lekko. Właśnie dlatego życzę, żeby Nowy Rok, 1995 przyniósł polepszenie sytuacji. Pamiętajmy, że Święta Bożego Narodzenia są czasem Bożej Nadziei.





Wodospad Niagary w całej swej krasie. Naprawdę tu byłam...

Wędrowki spod Klonowego Liścia

PO ANGIELSKU MAPLE

Wanda Marcinkiewicz

Tak nazywają po angielsku klony. Jesienią widziałam, jak płoną czerwienią. Nigdzie na świecie nie ma tak pięknej jesieni jak w Kanadzie...

Klon cukrowy, którego liść jest symbolem Kanady i zdobi flagę narodową, występuje od Zatoki Św. Wawrzyńca po granicę prowincji Ontario z Manitobą. Głównym ośrodkiem produkcji syropu klonowego jest prowincja Quebec z jego centrum, małym miasteczkiem Plessville. Stąd pochodzi aż 2/3 całej kanadyjskiej produkcji tego syropu. Pod nazwą „klon” kryje się 115 gatunków drzew występujących w lasach strefy umiarkowanej półkuli północnej. Wszystkie mają słodki sok, który na zimę gromadzą w korzeniach. Na przykład klon czarny ma w nim 5 proc. sacharozy, i nadaje się do uzyskiwania syropu oraz cukru.

Kiedyś Indianie po prostu nacinali korę

pnia lub zdzierali jej płat i za pomocą wydrążonej w drewnie rynienki albo przez wetknięcie w otwór długiego patyczka cedrowego kierowali strumień soku do drewnianych dębanców i pojemników z kory brzoźowej. O tym, że sok w życiu Indian był wszechobecny, świadczy fakt, że służył on jako pożywienie. Przymakiem były suszona kukurydza z cukrem oraz sarnina gotowana właśnie w soku klonowym. Służył też on jako środek konserwujący - zapasy przechowywano nie w soli, ale w syropie klonowym. Kanadyjskie gospodynie najczęściej używają syropu klonowego do wypieku ciast i do *pancakes* - placków mącznych. Suto podlane tym słodkim, gęstym syropem pachnącym lasem, jadłam u mojej przyjaciółki Haliny Kasprzak i zachwalałam sobie. Dostałam też w prezencie dwa flakony syropu. Częściej znajomych, jako czymś „bardzo kanadyjskim”, ponieważ tak jak *spagetti* dla Włocha albo bigos dla Polaka - tak syrop klonowy dla Kanadyjczyka.

Pojedzie tam, gdzie najtaniej

Kanadyjska gospodyni najczęściej jeden raz w tygodniu robi zakupy. Przed wyjazdem z domu dokładnie przejrzę gazety i reklamy (a tego, przynoszonych za darmo do skrzynki pocztowej, są kilogramy), by pojechać tam, gdzie najtaniej. Najczęściej - do dużego centrum handlowego.

Byłam, widziałam. Czegoż tam nie ma! Chyba tylko „ptasiego mleka”... Kilkanaście gatunków chleba, bułek, przez cały rok świeże i najróżniejsze owoce i warzywa, kilkadziesiąt gatunków wędlin i mięs, ryb, serów, dżemów i tak dalej, i bez końca... Wileński sklep „Pas Juozapa” na tym tle jest w powijakach.

Po zakupy jeździ się samochodem i z kalkulatorem. W myśl hasła „klient nasz pan” masz zawsze uśmiech kasjerki, pomoc przy znalezieniu potrzebnego produktu, porady, uprzejmość, dostarczenie „za dziękuję” zakupów do samochodu na parking. Zdania: „nic się nie martw”, „czy ci nic się nie stało”, oczywiście „wszystko będzie OK” - są na porządku dziennym.

„Wolność Tomku w swoim domku”

Kanadyjczycy nie są snobami. Nie muszą pokazywać sąsiadom, że stać ich na nowy samochód, drogie meble. Życie zamyka się w czterech ścianach. A tu - „wolność Tomku w swoim domku”. Tak, ale w granicach prawa. Jeśli przed domem nie zetniesz trawy lub nie posprzątasz liści, zrobi to za ciebie odpowiednia firma ogrodnicza. Ale za usługę zapłacisz stony rachunek.

Co kraj, to obyczaj

Halloween - to anglosaska tradycja, odpowiednik słowiańskiej Nocy Zadusznej. 31 października w całych Stanach Zjednoczonych i Kanadzie odbywają się bale „halloweenowe” i zabawy przebierańców, przeważają wtedy stroje kościotrupów i czarownic. Właściwie jest to święto dzieci. Chodzą od drzwi do drzwi i wołają: *Trick or treat?* (Psikus czy łapówka?). Każdy stając przed takim dylematem chętniej wybiera to drugie. Wieczorem natomiast we wszystkich prawie oknach oraz przed wejściami do domów pojawiają się maskiary z wydrążonej dyni, w której środku pali się świeczka. Ma być strasznie i śmiesznie. Jest to Święto Zmarłych na wesoło. Co kraj, to obyczaj. A Święty Mikołaj! Długo przed świętem, znanym na całym świecie, dzieci piszą listy ze swoimi prośbami, marzeniami. Podejrzewam, że w nielicznych tylko krajach otrzymują one odpowiedź. W Kanadzie Święty Mikołaj odpisuje na każdy list do niego zaadresowany na adres: North Pole, Canada, HOH OHO.

Odpisują urzędnicy poczty, która co roku do załatwienia korespondencji zatrudnia około 10 tysięcy osób. Są to emerytowani pracownicy pocztowi i ich rodziny. Odpowiedź otrzymał nawet 33-letni mieszkaniec Kanady. Święty Mikołaj odpisał mu: *Taki stary, a jeszcze wierzy w Świętego Mikołaja! Jak ci nie wstyd?*

October Fest

Festiwale to specyfika życia kulturalnego kraju spod znaku Klonowego Liścia. Konkursy

dzających jest milion dwieście tysięcy, a rocznie - około 14 milionów! Niagara Falls leży niedaleko miasta Saint Catharines. Zanim dojechalismy z Państwem Haliną i Januszem Bućko do wodospadu, trochę czasu minęło. Napięcie wzrastało: wreszcie ujrzę ten ósmy cud świata! Realia przekroczyły oczekiwania. Tego dnia wiatr wiał od strony wodospadu czyli w naszą stronę i kierował rośną spadającą z „Grzmiącej Wody” na nas. Nie wiem czy od niej, czy też ze

wzruszenia po policzkach płynęły mi łzy. W zasadzie nie jestem tak sentymentalna, ale to działo się niezależnie ode mnie.

Kazimierz Gzowski

mają duże miasta, również małe osady. W tym prawdziwą okrasę stanowią imprezy, które związane są z tradycjami poszczególnych grup etnicznych. Zawsze w październiku odbywa się w Ontario *October Fest* - festiwal bawaryjski. Byłam na nim obecna. Wystąpiła polska grupa taneczna z Toronto „Biały Orzeł”. Koncerty odbywały się na ogromnym stadionie „Skydome”, który jako jedyny w świecie ma rozsuwany dach. Ogromne wrażenie zrobiły i „Skydome”, i występy na poziomie „Białego Orła”, i piwo, które piliśmy w bardzo miłym towarzystwie.

W taniec przez życie

Kierownikami artystycznymi „Białego Orła” z Toronto są Maria i Paweł Dubiccy. Oboje pochodzą z Wołynia. Nawet blisko siebie mieszkali, a zapoznali się dopiero w Kanadzie. Na próbie tańca. Tak los chciał, że uciekając przed Ukraińcami zostali schwytani przez Niemców i wywiezieni na roboty przymusowe. Potem była Belgia. Zaczęli od zespołu przy parafii św. Stanisława Kostki. 22 pary - to było dużo jak na tamte lata. Stroje odtwarzano z pocztówek. Nieocenioną wręcz pomoc okazał Sylwester Soliński. Wiadomo, jak są bogate polskie stroje ludowe. Ile czasu należało poświęcić, aby wyszyć je cekinami! I waży dlatego nie ma. Strój łowicki na przykład aż 12 kilogramów, a jeszcze *dzioucha* w nim. Chłopcy noszą je jak piórka. - żartuje pan Paweł. W zespole 75 dzieci. Najmniejsza grupa to 5-latków - moje krasnoludki - jak je nazywa pani Maria. W pracy pomaga trzech zawodowych instruktorów. A wszystko zaczęło się od jednej pary tancerzy - Krysi i Jurka Hejduk.

„Biały Orzeł” jest często zapraszany na różne imprezy. A to na święto narodowe Kanady, a to na przyjazd Jana Pawła II, również na otwarcie Domów Polskich, na festiwale etniczne... W 1989 roku w Rzeszowie razem tańczyli i śpiewali z „Wileńszczyzną”.

- Jeżeli na wagę dać po jednej szali folklor polski, a na drugą „feszję świata”, to przeważa szala polska - twierdzą państwo Dubiccy.

Tego dnia byłam jedną z 40 tysięcy

ludzi odwiedzających dziennie wodospad Niagara. Oznacza to, że w ciągu miesiąca zwie-

W 1884 roku w Niagarze były tylko stare budy i stragany. Wtedy też premier prowincji Ontario powołał na przewodniczącego Niagara Falls Commission wybitnego polskiego inżyniera, byłego powstańca 1831 roku, Kazimierza Stanisława Gzowskiego. Brudny i zaniedbany teren nad wodospadem przekształcił on w Park im. Królowej Wiktorii. „Grzmiąca Woda” w narzeczu Irokezów - to wodospady, które chociaż nie są największe na świecie, gdyż sięgają zaledwie 51 metrów wysokości, są jednak najbardziej znane. Cud natury. Wodospady są dwa: próg w zachodnim rozwidleniu rzeki, który kształtem swym przypomina podkowę końską, leży po stronie kanadyjskiej. Ma szerokość 917, a wysokość - 48 metrów. Natomiast próg we wschodnim rozwidleniu rzeki - to część amerykańska. Wodospad tamten jest mniej widowiskowy.

- Irokezi wierzyli, że wodospad jest we władaniu Ducha Grozy. - opowiada pani Halina Bućko. - Składali więc mu ofiary z młodych dziewczec, rzucając je w nurt rwącej rzeki...

Kartoteka bohaterów

Atrakcje mrozzące krew w żyłach nad Niagarą, zapoczątkował francuski akrobata Jean F. Blondin. W 1859 roku pierwszy przeszedł po rozpiętej nad rzeką linie. Lina miała 5 cm grubości i 390 metrów długości. Za nim poszli następni. Wielu zdobyło sławę i pieniądze. Wielu straciło życie. W 1901 roku nauczycielka z Michigan Anna Edson Taylor dała się namówić na „wirowy eksperyment”. Zamknęła ją w masywnej beczce i zrzuciła do rzeki powyżej wodospadu... Po pół godzinie beczka wypłynęła na powierzchnię i zatrzymała się na przybrzeżnych kamieniach. Odbito dno i wyciągnięto panią Taylor, całą i zdrową.

Wraz z nastaniem mroku opuszczaliśmy Niagarę. Nad wodospadami nikła barwna tęcza, zapalały się petzające kolorowe smugi reflektorów. Iluminowały zmieniającymi się co 15 minut światłami: niebieskim, żółtym, czerwonym, zielonym... Wtedy też długi deptak zapełnił się nowożeńcami. Powszechnie uważa się, że małżeństwo, które w pierwszych dniach wspólnego życia ujrzy wodospad, przez całe życie będzie szczęśliwe.

Naprawdę byłam przy Niagarze!

Zapraszamy do księgarni Stanisława Korczyńskiego

(Ul. Ostrobramska 9, tel. 62 55 06)

A oto wybrane tytuły - w sam raz na prezenty:

- Jan Paweł II, Przekroczyć próg nadziei - 10 Lt.
- Encyklopedia „Świat Dziecka”, 4t. - 17 Lt.
- Patrę. Podziwiam. Poznaje, 6 książek - 28 Lt.
- Bajkowe marzenia - 43,80 Lt.
- Wesołych Świąt - 40 Lt.
- Baśnie i legendy z różnych stron świata - 56,30 Lt.
- Małgorzata Musierowicz, Opium w rosale, Kwiat kalafiora, Pulpecja, Noelka, Dziecko płątku - wszystkie po 6 Lt.
- Branda Joyce, Zdobywca - 5 Lt.

Uwaga, przedświąteczna 5-procentowa zniżka!

Wszystkim naszym Klientom, Partnerom, Współpracownikom i Konkurentom składamy życzenia wesołych Świąt Bożego Narodzenia oraz szczęśliwego Nowego Roku!

LIDER Formy do produkcji kolorowej kostki brukowej, barwniki do betonu; Hurtownia petard i fajerwerków: - dekoracje i art. karnawałowe; - balony na hel. Zapewniamy ciągłość dostaw. Serdecznie zapraszamy! Tel./fax 00 48/85/325 801 15-228 Białystok, ul. Modrzewiowa 24



W czasie świąt zimowych popularnością cieszą się przeróżne figurki i rzeźby z lodu...

Fot. Archiwum

ZNAD WILII
1994.12.27

5

Elżbieta Iwańska: Pole realizacji pewnej filozofii

- Występuje Pani jako gorliwa orędowniczka zblżenia narodów polskiego i litewskiego. O ile mi wiadomo, nie jest Pani ani korzeniami, ani rodzinie związana z tymi terenami, skąd więc wzięły się zainteresowania stosunkami polsko-litewskimi?

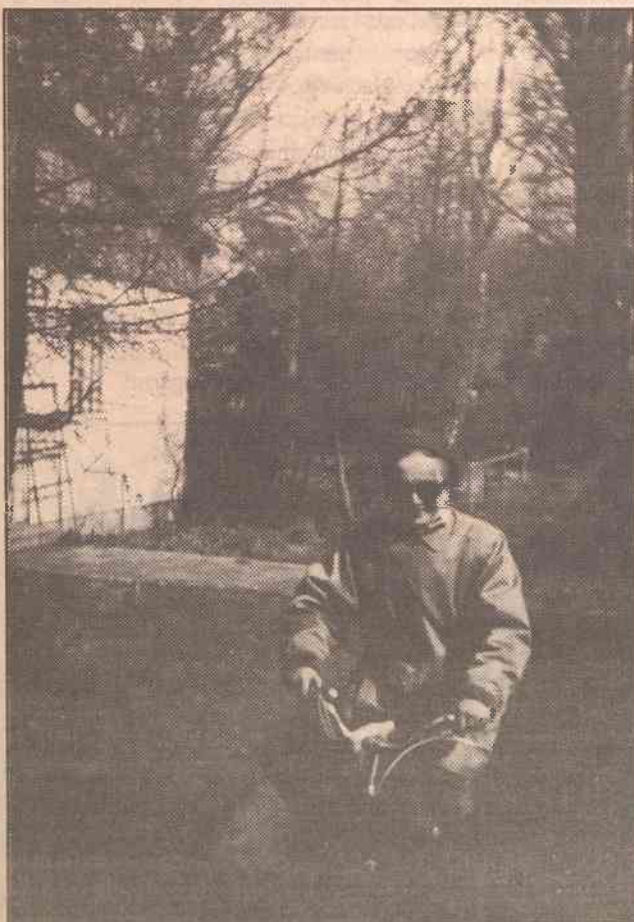
- Mnie się to wydaje oczywiste: po prostu dlatego, że jestem Polką. Litwa - to teren i ludzie naszej historii, a Litwini, choć oni tego nie lubią, to jednak nasi rodacy. Przez rodaków rozumiem wszystkich mieszkańców Litwy takiej, jaką ona jest. Jako Polka jestem tworem kultury polsko-litewskiej. Ktoś może powiedzieć, że i grecko-rzymskiej, a także wpływów francuskich. Tak, oczywiście. Żadna jednak nie jest nam bliska tak bezpośrednio, świeżo i żywo, jak litewska. W tym, co mówię, nie zawiera się nic z chęci przyznawania tego, co jest Litwą i litewskie, jak przyznając się do



Elżbieta Iwańska demonstruje działanie maszyny powielającej wypukłe rysunki dla niewidomych - w środku p. Giscard d'Estain, od lewej - p. Stanisława Gierkowa.



Autorka w Dolinie za Bramką w Tatrach w czasie wyprawy w góry...



... i na rowerze w Laskach.

Fot. Michał Wiechowski i Archiwum

schedy po Grecji i Rzymie, nie mamy pretensji do Aten. Są one podwaliną naszej kultury i jeździmy je poznawać jako jej kolebkę. Przyszedł kiedyś moment, w którym zdałam sobie sprawę, jak wielki wpływ, bezpośredni i aktualny, miała i ma nadal na Polskę

Litwa Przeważnie nie zdajemy sobie z tego sprawy, jak nie zdajemy sobie sprawy z powietrza, którym oddychamy. Klótnie kto Polak, kto Litwin - najczęściej o Mickiewicza - są dla mnie niepoważne. Krew tu jest przemieszana, a mieszkanka ta dała rezultat niepowtarzalny, tutejszy, nasz wspólny i wszyscy mamy do niego prawo i powód do dumy. Spór, kto kim był bardziej, kto mniej Białorusinem z W.Księstwa, Litwinem, Polakiem, Żydem i z jakiego powodu - jest dziecinny i nierozwiązywalny. Moje pokolenie wyrosło jeszcze w kulcie Mickiewicza i Filomatów, Sienkiewicza, i czuje nierozdzielalną więź z ojczyzną naszą, ziemią „Trylogii”, ziemią nad Niemnem, gdzie szumił Devaitis i śpiewał lirnik wioskowy. Młodzi dziś żyją w innej epoce, literatura wzbogaciła się o nowe wielkie nazwiska. Mickiewicz i cały XIX w. odsunął się na dalszy plan, jak dla starszych Kochanowski. Więź z Litwą więc słabnie i za ileś tam pokoleń pewnie staniami rodakami nie wiele bardziej, niż rodakami Greków. Coś jednak zawsze pozostanie, bo faktów, nawet oddalonych o 2000 lat, wykreślić się nie da.

Zainteresowanie Litwą rośnie także na tej zasadzie, że co zabrane i zakazane, to droższe. Tak działało przez 30 lat milczenie o niej. Gdyby istniał równie ostry zakaz odwiedzania, a nawet myślenia o Grecji, reakcja najpewniej byłaby podobna. Kiedy pierwszy raz z grupą koleżeńską wyjeżdżałam służbowo do Wilna, wybieraliśmy się wszyscy jak do Mekki. A na miejscu kolega powiedział: „Ja tu chodzę na kolanach”. Zda się że wszyscy.

- Przyjeżdża Pani do Wilna już od 4 lat. Czym dla Pani jest dzisiejsza Litwa, ta realna?

- Jest miejscem, w którym poznaję tę część mojej ojczyzny, choć nie Polski, której poznanie dotąd nie było możliwe. A gdy tu, na miejscu, spotkałam się z tutejszymi problemami, odczułam, że są one także problemami moimi. Im bardziej są bolesne, tym bardziej przykuwają uwagę, myśl i uczucia. Dziś mam przekonanie, że jedyną drogą dla Polaków i Litwinów ku umożliwieniu sobie nawzajem życia i przywróceniu jego normalności jest bardzo usilna próba zrozumienia przeciwnej strony, poznanie się, tolerancja, cierpliwość i spokój. W przeciwnym razie - strach pomyśleć!

- A jak się zawiązały kontakty z Litwinami?

- W moim zakładzie poprzez Związki Niewidomych Litwy i Polski. O ile wiem, pierwszy gest wyszedł od Litwinów. Stosunki układają się doskonale. Nasi nauczyciele, pracownicy i młodzież przyjeżdżają do Wilna, a w Laskach przyjmujemy podobne delegacje z Litwy. W ten sposób i ja pierwszy raz znalazłam się tutaj w październiku 1990 r. A kiedy usłyszałam z radia Wolna Europa o istnieniu Ogólnopolskiego Klubu Miłośników Litwy i o jego programie, natychmiast się do niego zapisałam.

- Pracuje Pani w Zakładzie w Laskach. Czym się zajmuje ta placówka, co to jest?

- Jest to Ośrodek Szkolno-Wychowawczy dla Dzieci Niewidomych, założony w 1918 r. przez niewidomą zakonnice, Matkę Elżbietę, w świecie Różę Czacką, prawnuczkę Tadeusza. Ośrodek znajduje się na skraju Puszczy Kampinoskiej, 10 km od Warszawy. Laski - to osiedle obok wsi o tejże nazwie. W Ośrodku pracują zakonnice i świeccy, w tym i niewidomi, gdzie to możliwe. Wychowanie ma, rzecz jasna, charakter katolicki. Dzieciom innych wyznań, najczęściej prawosławnym, umożliwia się ich praktyki religijne. Mieliśmy i jednego hinduistę. Dzieci uczą się od przedszkola do matury. Mniej zdolne i dzieci z lekkim upośledzeniem umysłowym kończą szkołę zawodową lub przynajmniej przysposobienie zawodowe w szrotkarstwie lub dziewiarstwie. Inne zawody wyparła konkurencyjna produkcja podczas obecnego kryzysu. Szkoły średnie kształcą elektroników i techników masażu. Technikum to skończyła jedna uczennica wileńskiej szkoły dla niewidomych i niedowidzących. Poprzez osobną komórkę administracyjną zakład utrzymuje kontakt z absolwentami, udzielając koniecznej pomocy, najczęściej materialnej. Pracowałam tam jako nauczycielka, a teraz, na emeryturze, zajmuję się robieniem rysunków wypukłych do wszystkich przedmiotów nauczania.

- To chyba stosowny moment, aby poprosić Panią o opowiedzenie o swych zainteresowaniach. Są one rozległe. Jako osoba niepełnosprawna prowadzi Pani aktywny tryb życia, działa społecznie, ba wspina się nawet na szczyty górskie! Przedtem zapewne trzeba było wiele pracować, żeby uzyskać taką wprawę?

- Pod koniec wojny, w 1944 r. zachorowałam. Leczenie skutków choroby nogi trwało 16 lat, zostało jednak trwałe kalectwo. Chodzę w aparacie ortopedycznym, przeważnie z dwiema laskami. Zwykle bywa, że jedna choroba pociąga za sobą następną, dlatego za sukces uważałam sobie, że po skończonym leczeniu zrobiłam maturę. Jednak dać kurze grzędę, to zechce wyżej - więc skończyłam Instytut Pedagogiki Specjalnej. 28 lat temu zaczęłam normalną pracę w Laskach. Tu pewien kolega zapytał, czy chciałabym jeździć na rowerze. Idiota - pomyślałam - jakby mo-



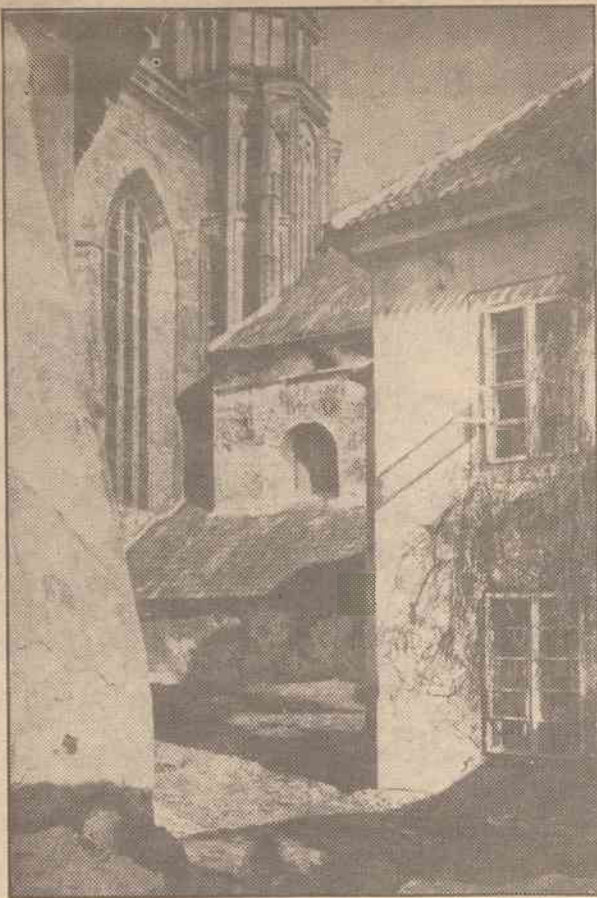
zna było nie chcieć! Ciekawe tylko, jak on to sobie wyobraża? Dziś nie wyobrażam sobie życia bez roweru. Przystosowanie go do moich potrzeb okazało się wcale nie trudne, tylko wymagało pomysłowości i cierpliwych prób. Chętnie opiszę ten sposób każdemu zainteresowanemu, kto zwróci się w tej sprawie do „Znad Wili”. Potem tenże kolega zaproponował mi kajakowanie, co udało się znakomicie. Na obozie usprawniającym dla inwalidów znalazłam się w czołówce kajakarskiej. Myślałam, że to już szczyt moich osiągnięć sportowych, gdy tymczasem spotkała mnie propozycja wyjazdu w góry. Zimą, gdy i tak ledwie chodzę po płaskim, bo wszystkie nogi (w liczbie trzech, czasem czterech) rozjeżdżają się na śliskim, a ubranie ledwie dźwigam! „To już przesada” - twierdziłam, lecz przyjaciółka nie słuchała. „Zapakowała” mnie w plecak i wraz z paczką jeszcze czterech osób zawiozła do Bukowiny Tatrzańskiej. Nie wierzyłam zmysłom, że to ja jadę oblodzoną szosą z Morskiego Oka, jakby moje sanki ciągnął ren z bajki Andersena. Latem dostałam podobną propozycję do Kościeliska na wyjazd samodzielny, pod wskazanym adresem. Teraz już namawiać mnie nie było trzeba. Lekarka wprawdzie ostrzegła: nie za dużo chodzić, więcej leżakować, mogą wystąpić takie i inne objawy, to wtedy lepiej wrócić. Do dolinek można dojechać taksówką. Są tak piękne, że na pewno nie będę żałowała wyjazdu. Dolinki rzeczywiście zadawały mi, ale nie na długo. Gdy z Kondratowej spojrzałam w dół, gdzie zobaczyłam ludzkie mrówki sunące doliną kilkaset metrów podę mną - straciłam rozum. Albo go nabrałam. Jeździłam w Tatry 6 lat z rzędu i chodziłam wszędzie tam, dokąd dojeżdżałam. Wędrowałam z laską w jednej i ciupagą gazdy w drugiej ręce. Mały plecak zawierał konieczne rzeczy. Trasę planowałam według przewodnika i mapy bez brawury, w miarę poznawania terenu i własnych możliwości. Tak, żeby nie narazić się na porażkę i polegać wyłącznie na własnych siłach. Przewodnik i mapa nie pokazują wszystkiego tego, co dla mnie może stanowić przeszkodę nie do pokonania, więc postanowiłam, że gdy natknę się na taką trudność - wracam i jestem szczęśliwa z tego, że dokąd się dojeżdżę udało. Każdy metr jest tu piękny, każdy krok jest zwycięstwem. Więc nie ma porażek, jest tylko większa lub mniejsza radość. Raz tylko nie udało mi się dojeżdżać do zamierzonego celu, ale porażką byłaby dopiero konieczność korzystania z czyjejs pomocy lub wzywania Pogotowia Górskiego. Przez 6 lat - nie wzywałam, mimo że stałe robiłam rzecz niedozwoloną w górach: chodziłam sama. Nikt przecież by nie wytrzymał nerwowo mojego tempa marszu i długości wypoczynków. Po pierwszym urlopie, w którym oglądałam tylko doliny, następne spędzałam w średnich partiach gór. Zdobywałam średnie szczyty: Grzesia, Kopieniec, Kopę Królową, dwukrotnie zejście z Kasprowego (po wjeździe kolejką), z dojeżdżeniem do Czarnego Stawu, Myślenickie Turnie, Jaworzynka Miętusia, Wańtule... Raz, gdy szłam na Gęsią Szyję, stanęłam przed zerwanym prześlestem mostku na potoku. Po godzinie przeszkody i prób jej minięcia zrezygnowałam i zawróciłam. Lecz po kilkunastu krokach znów zawróciłam - za łatwo dałam za wygraną. Jeszcze jedna próba. Tu, po tej belce, tam wystaje kołek - i nagle jestem po drugiej stronie wyrwy! I droga przede mną otwarta! To była chwila szczęścia. Były i inne pokonane zasadzki. Teraz te wspomnienia należą do moich największych skarbów, których żaden złodziej nie ukradnie. Dziś z możliwych sportów został mi wciąż jeszcze wierny rower.

- Góry i inne sporty tak fascynują, że przesłoniły inne zainteresowania...

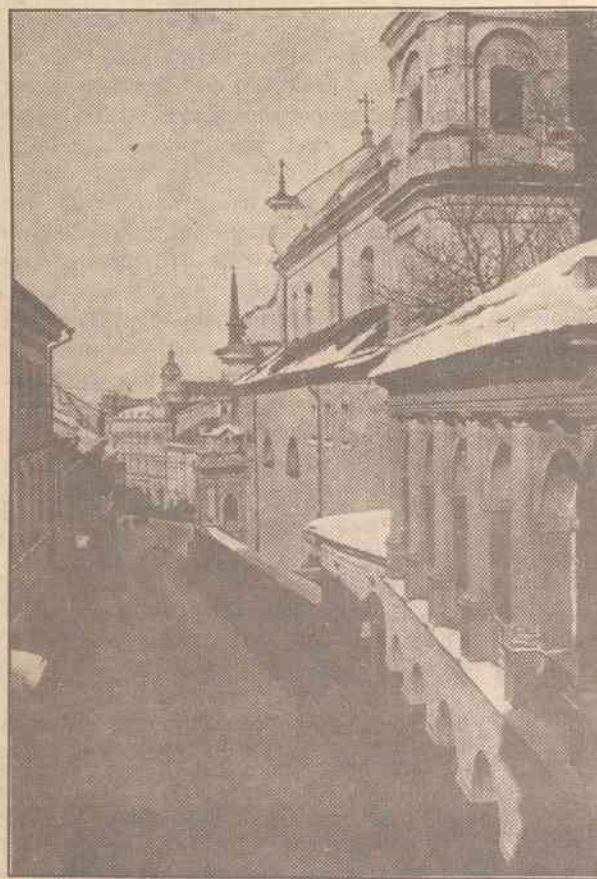
- Mam ich nadmiar, skutkiem czego żadne nie zostało pogłębione. Cały świat przyrody od fizyki do psychologii jest pasjonującą parapsychologią, jako sygnał istnienia ogromnej a nieznannej jeszcze dziedziny rzeczywistości, kryjącej na pewno wiele niespodzianek. Każda dziedzina wiedzy jest ciekawa, gdy się nią zająć. A cała ta wiedza jest gruntem dla wniosków filozoficznych, bo filozofia jest głównym moim zainteresowaniem. Sprawy polsko-litewskie zajęły mnie także wtórnie, jako pole realizacji pewnej filozofii. Ta pasja przewyższyła wszystkie. Zaczęłam poznawać historię naszych stosunków, obecnie, gdy ukazał się podręcznik, uczę się - na stare lata! - języka litewskiego. Marzę o tym, aby opanować go chociaż na tyle, żeby móc przekładać na polski litewską literaturę dziecięcą, bo mam na koncie kilka drobnych pozycji dla dzieci, które doczekały się druku.

- Życzę powodzenia, dalszych artykułów w „Znad Wili” i dziękuję za te wypowiedzi.

Rozmawiała: Wanda Marcinkiewicz



Podwórce kościoła Bernardynów.



Ul. Ostrobramska zimą.

Wydawałoby się, że po blisko pół wieku od zakończenia wojny, po ponad czterdziestu latach od śmierci artysty, nie powinno być białych plam w twórczej biografii wybitnego wileńskiego fotografa Jana Bułhaka. A jednak...

W 1992 r. „Gazeta Poznańska” poinformowała czytelników o sensacyjnym i zaskakującym odkryciu. Okazało się bowiem, że uznane za bezpowrotnie zaginione w pożodze wojennej 39 albumów ze zdjęciami Jana Bułhaka ocalało! Spoczywają spokojnie na półkach biblioteki Instytutu Historii Sztuki Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

Wiele osób, znawców przedmiotu, jak i członków rodziny, było przekonanych, że albumy spaliły się w 1944 r., podczas bombardowania Wilna przez Rosjan. J. Bułhak mieszkał wówczas przy ul. Orzeszkowej 3.

W czasie pożaru domu, wywołanego pociskiem, artysty nie było w tym miejscu. Zawaliło się wtedy całe drugie piętro budynku, a z nim praca Bułhaka. Jan Bułhak po obejrzeniu zgłiszcz wraz z synem Januszem uznał, że cały dorobek przepadł. Latem 1945 r. wyjechał do Warszawy. W Polsce nadal jednak poszukiwał wszędzie różnych swoich prac. Być może chciał odtworzyć w ten sposób zbiory? M.in. 50 fotogramów znalazł w Muzeum Narodowym w Poznaniu.

Tymczasem dom w Wilnie przy ul. Orzeszkowej rozebrano. Wedle sugestii prof. Jerzego Strumińskiego z Poznania, najwioczniej w czasie rozbiórki domu znaleziono te prace i ktoś z repatriantów po roku 1956 przywiózł je do Polski. Następnie zdeponował w Instytucie Sztuki. Odkryto je, gdy któryś z promotorów zlecił studentowi napisanie pracy magisterskiej z zakresu fotografii.

Każdy z 39 albumów jest pięknie oprawiony w białe płótno. Na egzemplarzach wytłoczone są niebieskim kolorem: rok powstania albumu, jego tematyka i faksymilia twórcy. Jeden album zawiera przeciętnie około 60 fotogramów, a także ekslibrisów fotografa. Zdjęcia są przeważnie stykowe, powstałe z klisz o wymiarach 13x18 cm. Większość sepiowana.

Pan Wiszniewski

- Jedźcie, jedźcie! - wpadaliśmy zasapani do domu. Ojciec pośpiesznie wychodził witać gościa, uciszając rozszekanego psa. Na ganku słychać było kroki, odgłos otrępywania brzozywymi wienikiem wołoków ze śniegu, przytupywania.

- Niech będzie pochwalony! - wreszcie rozległa się w sieni. Zaczerniony człowieczek z dostojnością zdejmował kożuch, pytał o zdrowie, całował ręce babki i matki.

Pogadawszy o wszystkim po trochu, przystępowano do interesów. Gość wyciągał grzałkę. Ojciec tymczasem podnosił róg ceraty. Pan Wiszniewski pluskał z grzałki na stół. Sprawnym ruchem zapalał zapalniczkę i wilgotna plama płonęła sinym ogniem. Gość cmokał z zadowolenia, myśmy się dziwowali, że ciecz się pali. Na plecach już skwierczała jajecznica, czuć było kroki na strychu - matka migiem wracała z wysuszoną kielbasą i kindziukiem.*

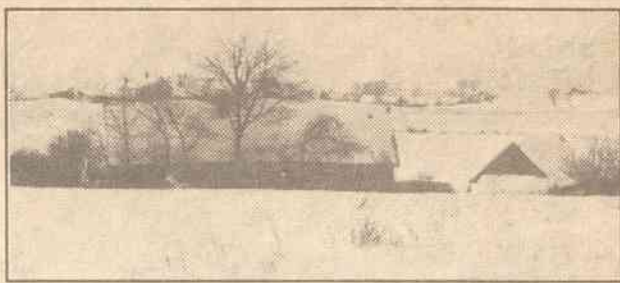
Wkrótce to wszystko było na stole. Jak też kwaszona kapusta, solone grzyby z beczki, coś tam jeszcze. Pan Wiszniewski z ojcem przelewali zawartość grzałki do karafki. Przez ornament z winogronami na szkle matowo połyskiwała tajemnicza ciecz.

- Powąchaj, panie dobrodzieju! - mówił z dumą gość - Toż to świeże żytko, jaki aromat!

Popijając rozmawiali o niezrozumiałej dla nas technologii produkcji trunku. Wiedzieliśmy tylko tyle, że nie ma w nim dudu**, ani żadnego innego świstwa.

Najadłszy się i wypiwszy w miarę, pan Wiszniewski wstawał - Pora - mówił. Przechodzono do sedna. W pokoju pojawiały się inne grzałki, kanistry, bańki. Zaczynał się etap przelewania, potem rozliczeń. W końcu był strzemienny i pan Wiszniewski wyruszał do kolejnej zagrody. Dziennie był w stanie obsłużyć trzy-cztery.

Niczym ksiądz po kolej-dzie darzony był powszechnym szacunkiem. Wódka od Wiszniewskiego słynęła z najwyższej jakości w okolicy. To była firma! Przed nią



nawet dzielnicowy czuł respekt, regularnie rozpalany pożądaniem. Czasy były takie, że niby to i nie wolno było bimbru pędzić, ale zawsze jakieś wytłumaczenie można było znaleźć: a to święto (najlepszy Nowy Rok), a to ktoś robił wesele, ktoś chrzciny, nie mówiąc już o stypie. Niepisane prawo ujmowało to „na własne potrzeby”. Określając ich rozmiar można wejść w sferę filozoficznych rozważań, powołać się na teorię względności.

Od czasu do czasu zdarzały się wpadki - ale nie z panem Wiszniewskim! Handlarze wódką własnej roboty płacili najwyżej grzywny. Prawda, jednocześnie konfiskowano towar, niszczono „linie technologiczne”. Pana Wiszniewskiego i jego produkcji to nie dotyczyło.

W ciągu kilku dni stateczniejsza część mieszkańców Fabianiszek, tak zwana Ameryka, bo była i uboższa - Korea, mówiąc językiem dzisiejszym, zostawała dobrze zaopatrzona w alkohol na cały sezon. Samogon od Wiszniewskiego z Kaplicznik piła, rzecz można, więc elita. Hołota kupowała u przekupniów bądź w melinach tańszy, ale podobno z dustem - żeby paliło i zabijało paskudny odór...

Pana Wiszniewskiego szanowała nawet „konkurencja”. Bo to i człowiek, który znał swą miarę i nikt go nigdy pijanym nie widział, stateczny gospodarz i przez długie lata jedynoliznik***. No, i bogobojny.

Do dziś pozostało w pamięci ujadanie psa i to lekkie podniecenie: „Pan Wiszniewski przyjechał!” Jego zarumienione od mrozu policzki i tańczące błoniebieskie płomyki na ciemnym blacie kuchennego stołu.

* kindziuk - wędlna w żołądku wieprzowym, jedna ze specjalności litewskich

** dust - środek przeciw szkodnikom roślin

*** jedynoliznik (ros.) - gospodarz, który nie wstąpił do kołchozu

Romuald Mieczkowski, fot. Autor

OCALONE Z POŻOGI

Trzy pierwsze albumy obejmują reprodukcje obrazów, rzeźb i przedmiotów sztuki, pokazują też wnętrza wileńskie. Jest wśród nich zdjęcie portretu Barbary Radziwiłłówny w klejnotach z peret. Ponad 20 albumów z wymienionych 39 poświęcił Bułhak architekturze Wilna. W cyklu „Litwa” pomieszczono fotogramy Nowogródziny i Mińszczyzny, a także okolicy Trok, Wilna oraz powiatu oszmiańskiego. Do tego zestawu włączył Bułhak album „Typy ludzi”. Ostatni z tomów odnalezionych w Poznaniu nosi datę 1920 i zawiera portrety legionistów, zdjęcia grupowe z pobytu Legionów w Wilnie.

Dla potwierdzenia autentyczności albumów zaproszony został z Krakowa do Poznania wybitny fotografik najstarszego pokolenia, Henryk Hermanowicz - podaje „Gazeta Poznańska”. Przed wojną pracował on w zakładzie Bułhaka na Uniwersytecie Wileńskim. Hermanowicz w pełni potwierdził autentyczność albumów, które zresztą widywał w mieszkaniu wileńskim Bułhaka.

- Ze wzruszeniem pocałował pierwszy oglądany album - opowiada profesor Strumiński.

Prace pozostały w Poznaniu. Zabezpieczone czekają na zainteresowanie specjalistów i miłośników twórczości Jana Bułhaka.

Tymczasem informację o odkryciu opublikowała również zielonogórska „Gazeta Nowa”. Okazało się, że w tym mieście mieszka krewny Jana - Andrzej Bułhak. Dziad Andrzeja - Ignacy Bułhak i Jan, artysta fotografik, byli braćmi. Zainteresowany odkryciem udał się natychmiast do Poznania. Według jego twierdzenia, wersja prof. Strumińskiego jest mało prawdopodobna. Jeżeli bowiem w kamienicy Bułhaka był pożar, potem gaszono go i budynek był zalany wodą, to niewątpliwie ślady wody, jakieś zaciek, winny pozostać na albumach. Tymczasem te, które widział w Poznaniu, są w stanie idealnym.

Andrzej Bułhak sugeruje natomiast inną możliwość. Otóż z przekazów rodzinnych, m.in. z opinii jednej z ciotek, pamięta, że Jan Bułhak robił ongiś duplikaty swych prac dla prezydenta Mościckiego. I nie wyklucza, że właśnie te duplikaty trafiły do Poznania. Oczywiście, nie wyklucza w stu procentach, że są to w jakiś cudowny sposób uratowane oryginały przewiezione potem przez repatriantów do Polski, ale mówi o tym sceptycznie.

- Przecież cały ten zestaw, 39 albumów, waży około 200 kilogramów. Czy to można było przewieźć bez wiedzy sowieckiej straży granicznej? - pyta Andrzej Bułhak.

Wkrótce po publikacji odezwał się kolejny krewny Jana Bułhaka mieszkający na Ziemi Lubuskiej. Otóż okazało się, że 20 km od Zielonej Góry, w Sulechowie, mieszka Ignacy Żukowski.

- Z Janem łączą nas związki rodzinne poprzez mego ojca, Stanisława Żukowskiego, bo mój dziadek, też Ignacy Żukowski, ożeniony był z Teresą Marią z Bułhaków. Wszyscy oni zamieszkiwali w Wilnie, więc spotykali się często. Przed II wojną często z rodzicami bywałem w mieszkaniu Jana Bułhaka, przy ul. Orzeszkowej 3.

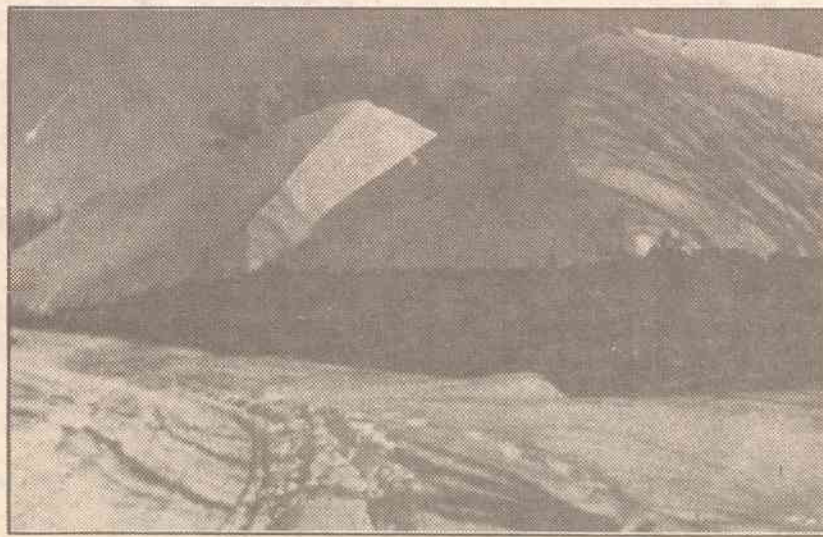
Ignacy Żukowski ma swoją wersję ocalenia albumów Bułhaka. Oto ona:

- Brat mojej matki - wuj Konstanty Syrewicz, sekretarz redakcji „Słowa”, w okresie okupacji działał w konspiracji. W mieszkaniu wuja i ciotki w Wilnie znajdował się punkt pomocy i opieki medycznej AK. W pierwszym tygodniu lipca 1944 r. Wilno było bombardowane przez lotnictwo sowieckie. Ludność, w znacznej części, wychodziła na noc z miasta, żeby uniknąć skutków bombardowania. Często zdarzało się, że gdy wracano raniem, zastawano mieszkanie zbombardowane. Tak się też stało w wypadku mieszkania Bułhaka. Ukrywając się w mieszkaniu wujostwa, po aresztowaniu mojej matki i brata przez NKWD, z zasłyszanych fragmentów rozmów wynioskowałem, że wuj miał zamiar zorganizować poszukiwania fotograficznego archiwum Jana Bułhaka. Jeżeli ów zbiór wówczas uratowano, to w 1944-45 roku istniała jeszcze możliwość w miarę pewnego wywiezienia albumów do Polski. Być może to wuj i ciotka, wyjeżdżając w 1945 r. repatriantkim pociągiem, właśnie do Poznania, zabrali potajemnie kolekcję ze sobą. A po jakimś czasie przekazali prace na uniwersytet.

Po śmierci Konstantego Syrewicza w 1960 r., jego żona - Irena, postanowiła... powrócić na Litwę. Do rodziny. Wyjechała, ale po jakimś czasie wróciła znów do Polski. Ignacy Żukowski sądzi, że dopuszczalna jest tutaj także wersja, że jego ciotka właśnie za drugim razem, wracając z Litwy przywiozła albumy Bułhaka i potem zdeponowała w bibliotece uniwersyteckiej.

Które z tych opowiadań, przedstawionych powyżej, jest najbardziej prawdopodobne? Trudno ustalić. Może jest jeszcze jakaś inna wersja dziejów 39 albumów? Może mieszkańcy Wilna pamiętają coś, co rozjaśniłoby dzieje prac wybitnego polskiego fotografa?

Eugeniusz Kurzawa



Wileńszczyzna: i pławiące się w białej jasności dni nie były litościwsze od nocy...

Fotografie: Jan Bułhak

00-710 Warszawa
ul. Witosza 31
tel. (8-10-48-2) 640 14 79



Jerzy Sińczak
Tadeusz Kłobukowski

ZAPRASZAMY PRZEZ 7 DNI W TYGODNIU!



Całodobowe parkingi:
strzeżony i nie strzeżony

Dojazd
od Czerniakowskiej
za Chełmską
i od Bobrowieckiej

OFERUJEMY - DLA PAŃ I PANÓW:

- odzież damską i męską w pełnej gamie kolorów i szerokiej rozpiętości;
- suknie balowe i wizytowe dla każdej z Pań;
- kurtki skórzane damskie i męskie;
- futra doskonałej jakości i o bogatej kolorystyce;
- kożuchy, marynarki.



*Unas ubierzesz się nieziemsko -
przy ziemskich cenach!*
A wszystko to sprzedają i pakują miłe, ładne dziewczyny!



Bernard Ładysz i prof. Mieczysław Rutkowski, prezes Poznańskiego Oddziału Towarzystwa Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej.

Fot. Andrzej Szozda

Na Sylwestra - do „Kresowej”



Trójka właścicieli restauracji „Kresowa” w Poznaniu: od lewej - Zbigniew Stochalski, Henryk Śliwiński i Jerzy Garniewicz.

Na huczną zabawę, ze wspominkami, z kuchnią, która w nich pozostała. W towarzystwie osób, których rodowody wywodzą się ze Wschodu, przy muzyce i pieśniach z dawnych kresów... Na takie sylwestrowe spotkanie zaprasza restauracja „Kresowa” w Poznaniu. Nietrudno ją odzyskać, znajduje się bowiem w samym sercu Starówki, w zabudowaniach przy Ratuszu.

Rozmawiam o tym z Jerzym Garniewiczem, jednym z właścicieli „Kresowej”, człowiekiem nie tylko o kulinarnym smaku, ale i artystycznej duszy.

- Jako aktor, głównie kabaretów, po 10 latach pracy w kulturze nie dorobiłem się wielkich pieniędzy, - opowiada - więc powstała spółka, w której zjednoczyliśmy swe wysiłki. Weszli do niej prócz mnie, pomysłodawcy przedsięwzięcia, Zbigniew Stochalski i Henryk Śliwiński. Restauracja została otwarta 14 stycznia tego roku i w ten sposób spełniły się moje marzenia, wieloletniego „podróżnika” do Wilna, w swe ojczyźnie strony. Do dziś pozostaną w pamięci chwile narodzin lokalu, kiedy to przy wejściu gości witano krupniczką litewską. Były inne trunki, charakterystyczne dla dawnych kresów, chwalono potrawy naszej kuchni. I ten nastrój staramy się zachować po dzień dzisiejszy.

Jako człowiek o licznych zainteresowaniach, wrażliwy na sztukę, Jerzy Garniewicz robi wszystko, aby działalność placówki nie ograniczyła się jedynie do gastronomii. Zaprasza osobistości ze świata sztuki, artystów estrady, znane postacie nie tylko kultury, ale i polityki. W czasie spotkań atmosfera pozostaje kameralna, ciepła, niemal rodzinna.

Gospodarz wertuje grubą kronikę zakładu. Kolorowe wpisy w różnych językach, rysunki, fotografie znanych ludzi.

- Naszymi gośćmi byli i Adam Hanuszkiewicz, i Zofia Kucówna, Maryla Rodowicz, Czesław Niemen, - kontynuuje opowieść - Gościliśmy prof. Zielińskiego, rzecznika praw obywatelskich, byłych premierów - Hannę Suchocką i Tadeusza Mazowieckiego. Ponadto raz na miesiąc staram się zorganizować spotkanie ludzi o rodowodzie wschodnim. Podejmowaliśmy m.in. Bernarda Ładysza z synem Zbigniewem, który też śpiewa, jest ciekawym barytonem. Ładyszowie mieszkali w Wilnie na Zarzeczcu. „Beńka z Połockiej” - taką miał „ksywę” w młodości pan Bernard. Swe wspominki snuł Emil Karewicz, który urodził się też w Wilnie, niedaleko Placu Łukiskiego. Niedawno bohaterami spotkania byli Halina i Wojciech Dzieduszyccy, wywodzący swój rodowód ze Lwowa.

Rozmowę toczymy przed południem. Kilka stolików zajętych. Goście studiują menu, powtarzają nazwy nieznaną w tej części Polski potraw. Są wśród nich obcokrajowcy, chyba z Niemiec, ktoś mówi po polsku z amerykańskim akcentem. Atmosfera przytulna. Z głośnika płynie cichutko muzyka w wykonaniu „Kapeli Wileńskiej”. Nasz zespół bywa tu częstym gościem, ma swoich „fanów”, których czoło przyprószyła siwizna, ale i wśród ludzi młodych. Płyną rzewne dźwięki wileńskiej melodii. Ktoś prosi, żeby puścić muzykę trochę głośniej.

Na ścianach też akcenty z kresowych zakątków. Powiększone fotografie z wileńskich zdjęć

Jana Bułhaka z Ostrą Bramą. Zdjęcia Lwowa. Podobno na jednym z nich Wojciech Dzieduszycki rozpoznał ślady swej obecności - ujęcia dokonano z pałacu jego rodziny, nieopodal Góry Zamkowej...

Nie brakuje tu i malarstwa, różnych pamiątek. Jerzy Garniewicz pragnie, aby plastycy mieli tu swoje miejsce. Wynika to również z pewnego obowiązku. Otóż restauracja rozlokowała się w byłym pomieszczeniu Klubu Plastyka.

- To, że pozyskaliśmy właśnie to miejsce, w świetnym punkcie Starówki, jest też dziełem przypadku. - mówi właściciel zakładu - Byłem na wycieczce w Wilnie, zorganizowanej przez mojego przyjaciela Rysia Minowicza. Na wycieczkę wybrał się również dyrektor mieszczącego się obok Biura Wystaw Artystycznych (BWA) Wojciech Machowiecki. Od niego dowiedziałem się, że klub boryka się z wielkimi trudnościami, kończy tu swą działalność i w związku z tym jest lokal do wynajęcia... Stąd chyba duch artystyczny nas nie opuszcza.

W listopadzie była tu wystawa obrazów prof. Czesława Tumielewicza z Gdańska, a pochodzącego z Lidy. W planie - wystawa grafik Stasysa Eidrigevičiusa, przedstawieni zostaną plastycy z Litwy. Wnętrze restauracji upiększają stare sztychy, herby poszczególnych miast, w honorowym miejscu godło Litwy. Ludzie tu chętnie przynoszą swe pamiątki. Z zainteresowaniem obejrzałem przedwojenne wydanie o Druskiennikach, z licznymi ilustracjami, mapkami.

- Restauracja służy szerokiej klienteli. - mówi gospodarz - Kresy, to znaczna karta w naszych dziejach i kulturze. To fenomen, który wciąż interesuje wielu. Ludzie dzwonią, pytają, kogo zaprosiliśmy na kolejne spotkanie, czasami sami kogoś proponują. Nie brakuje znawców tych stron, sympatyków dziś niepodległych krajów. To jest miejsce, które jednoczy ludzi o różnych poglądach i pokoleniach.

Jerzy Garniewicz opowiada, że ludzie rodem ze Wschodu w Poznaniu niewiele. Zakotwiczyli się oni głównie na Ziemiach Odzyskanych. Wilnianie, jeśli chodzi o inteligencję akademicką - jak wiadomo - znaleźli się w Toruniu, częściowo na Wybrzeżu, w Polsce Zachodniej - w okolicach Zielonej Góry, Gorzowa. Natomiast „Lwów” skoncentrował się wokół Wrocławia, Stanisławów (Iwanofrankowsk) - w Opolu...

Plany są rozległe. Mile widziani są tu artyści, niewykorzystaną szansą jest udział na tych spotkaniach poetów i artystów z Litwy.

- Mam nadzieję, że będziemy ich gościli - zapewnia z uśmiechem Jerzy Garniewicz - a i kuchnia im się spodoba. Ci, którzy odwiedzili naszą restaurację stwierdzili, że cepeliny mamy równie dobre, jak w domach litewskich.

A co najważniejsze teraz? Oczywiście, zabawa sylwestrowa! Aby było to spotkanie ludzi Wschodem zespolonych i zauroczonych, odmówiono wynajęcia lokalu dla uczytu weselnej. Na przyjęcie noworoczne szykowany jest specjalny program artystyczny. Na wileńską, ale nie tylko, bo i na lwowską nutę planuje zagrać „Kapela Wileńska”. Zabawa szykuje się, jakiej dotąd w Poznaniu nie było.

Romuald Mieczkowski